

Wąsaty karczmarz z bujną czarną czupryną postawił przed swoim młodym gościem kufel z zimnym piwem.

- Dziś pijesz na moje konto - powiedział uśmiechając się do stałego bywalca. Ten zaś uniósł brwi i zerknął na właściciela. Przyglądał mu się ze zdziwieniem.

- A z jakiej to okazji, Błażeju?

- Wydaję córkę za mąż - odrzekł spokojnie gospodarz, przypatrując się młodemu mężczyźnie, o płowych włosach przyciętych krótko do uszu. Oczekiwał zapewne na jego gratulacje. Gość jednak milczał. Nie należał do ciekawskich, ani zbyt rozmownych, o czym oberżysta doskonale wiedział. Właściwie, to przy piwie miał zamiar pilnie przemyśleć swoje prywatne sprawy. Okoliczności wielce ku temu sprzyjały. W gospodzie było bowiem jedynie dwóch amatorów zimnego trunku. W dodatku, za obecnością których nigdy nie przepadał. I na odwrót. Po chwili karczmarz nawiązał do zaczętego przez siebie tematu - Jadwiga jest kontenta z tych zręków. Ja także mam powód do dumy. Mój przyszły zięć zamierza

przy mojej karczmie zbudować zajazd.
To inwestycja z przyszłością.

- Nie przeczę, Błażeju - bąknął
młodzieniec - sam też radowałbym się
z takowego nieoczekiwanego i
pomyślnego mariażu. I dobrze. Widzę,
iż wydajecie jedyne swoje dziecko w
dobre ręce. A kiedy ślub?

Karczmarz klasnął w swoje pulchne
dłonie.

- Ano, za dwa tygodnie. Dlatego od
jutra będzie u mnie szykowanie
potraw weselnych. W związku z tym
moja karczma otwierana zostanie
jedynie wieczorem. Czy czymś mogę
jeszcze służyć? - zapytał z troską,
momentalnie urywając temat rozmowy.
Młody człowiek jakby czekał na to
pytanie. Z iskrą w oku spojrział na
karczmarza.

- O, tak, Błażeju, mam prośbę. Czy
mogą twoi stajenni przygotować do
podróży mojego konia? Niebawem
wyruszam w drogę.

Tym razem właściciel gospody
zaniemówił przez moment. Prośba jego
gościa wydawała się jakąś
abstrakcją.

- A gdzież to Julianie nas
nieoczekiwanie opuszczasz? Sądziłem,

że zagościsz na weselisku. –
Powiedział to wybitnie z marsową
miną. Nie zwyczajny był bowiem,
dowiadując się o pewnych faktach na
sam koniec.

– Przykro mi Błażeju. W zwykłych
prywatnych interesach jadę, mój
drogi. Ślub co prawda, jak
powiadasz, jest za dwie soboty, ale
nie ręczę, że zdołam na czas
powrócić. Wyjazdu niestety odłożyć
nie mogę na potem. Taka jest prawda.
Wybacz mi więc, kiedy się nie
pojawię na Jadwisi ślubie. Mnie z
tego powodu również jest przykro.
Powiedz mi, a za kogo ją wydajesz? O
ile nie jest to jakaś tajemnica?
Błażej cicho zachichotał:

– Oj, daj spokój. Jasne, że to żadna
tajemnica Julianie. Widać ostatnio
rzadko bywasz u naszego kowala? Tam
wszyscy jego bywalcy od miesiąca
wiedzą, oraz dyskutują żywo, iż moja
jedyna córka, zaślubiona ma być
niejakiemu Przybysławowi Małeckiemu.
Gość to dojrzały do żeniaczki. Z
głową na karku, jak należy. W
dodatku jest wielce zamożny, co ma
wszak znaczenie, i jest
bezgranicznie zakochany w mojej

ukochanej Jadwisi po same uszy. A że dziesięć lat jest starszy, a więc i tym stateczny. Zapewniam cię Julianie, to odpowiednia partia dla niej.

Gość miał jednak inne zdanie w tej kwestii. Tak duża różnica wieku, między małżonkami, nie zawsze wróżyła długi i udany związek. Nie chcąc urazić karczmarza rzekł:

- Pomimo twoich solennych zapewnień Błażeju, czy on nie jest dla niej za stary?

- Oj tam, oj tam. Jadwisia jak wiesz, też do młódek już nie należy. W jej wieku panny dawno powychodziły za mąż i otoczone są gromadką wesołych dzieciaków. A i nie jedna panienska powychodziła za dużo starszych od siebie. Nie widzę problemu. Zresztą Julianie, trzydziestoletni kawaler jest dobrą partią dla mojej córki. Sam niebawem ten wiek osiągniesz. Pora i tobie wreszcie poszukać sobie odpowiedniej żony. Mam tylko jedno marzenie, co do mojej córki i jej narzeczonego - oby się tylko mocno kochali i żyli ze sobą szczęśliwie, a ja został dziadkiem - zakończył swoją

wypowiedź.

– Może tak? Może nie? – Julian podsumował pod nosem i z miejsca ponowił swoją prośbę. – Zależy mi Błażeju, abym jak najrychlej stąd wyjechał. Niech jakiś koniuszy zajmie się moim koniem.

Karczmarz ukłonił się nisko.

– Idę Julianie wydać polecenie. A ty czekaj cierpliwie. Masz może na coś apetyt? – rzucił odchodząc od stołu.

– Mamy dziś kaczkę z jabłkami.

– Dziękuję! Przed podróżą nie zwykłem biesiadować. Jadąc konno, muszę czuć się lekko. Ale jeszcze raz dzięki ci, Błażeju, za pomoc.

– Twoja decyzja – odrzekł z przekąsem właściciel karczmy o nazwie „Jagusia”, oddalając się szybkim krokiem na zaplecze. Z niego wiodły drzwi na tył gospody, gdzie znajdowało się przejście wprost do stajni.

Młodzieniec zamyślił się. Czekająca go długa jazda. Zmuszony był koniecznie rozmówić się z ciotką. Ta wizyta u niej, napawała go obawą i niemałym wręcz lękiem. Znał bowiem uparty charakter Elwiry Stopnickiej.

Różniła się diametralnie od swojej

zmarłej przed kilku laty młodszej siostry, a matki Juliana – Katarzyny. A misja, z jaką się do niej wybierał, nie należała do łatwych. Zawsze sprawy finansów rodzinnych należały do kłopotliwych, czasem wręcz drażliwych. Liczył więc na duży łut szczęścia.

Po około godzinie zjawił się przed nim wysoki, chudy chłopak stajenny. Mógł mieć góra siedemnaście wiosen. – Koń gotowy do drogi, panie – oznajmił.

Julian wstał cicho od stołu i ruszył za koniuszym. Wsiadając na wierzchowca, wręczył chłopakowi sowity napiwek. Następnie, nie oglądając się za siebie, pognął konia w długą trasę. Warunki do podróżowania zdawały się być idealne. Księżyc będący w pełni jasno oświetlał mu trakt. Dokoła panowała niczym nie zmacona cisza. Tylko od czasu do czasu słychać było pohukiwanie sowy. Po przebyciu niemalże połowy drogi, warunki jazdy nagle zmieniły się. Księżyc skrył się za chmurami, które niespodziewanie nadciągnęły licznie z północy. Zerwał się silny, zimny i

przejmujący wiatr. W tej sytuacji dalsza jazda nie była już tak komfortowa. Julian szczerze naciągnął na głowę kaptur peleryny, który i tak co i raz zsuwał się mu na ramiona. Wreszcie zrezygnował z niego. W pewnej chwili, znienacka napłynęła gęsta mgła, która jak macki ośmiornicy, okrywać zaczęła go od stóp do głów, aż całkowicie wzięła go we władanie. Jechał niesamowicie ostrożnie, prawie na oślepie i bardziej na wyczucie. Naraz koń zachwiał się pod nim i miał nieodparte wrażenie, iż oboje lecą w jakąś niezmierną głębię. Pomimo tego nie odczuwał strachu. Wręcz przeciwnie. Dobrze mu było i serce jego wypełnił niepojęty spokój. Nie pamięta ile trwał ten dziwny stan. Stracił poczucie czasu. Dokoła otaczały go nieprzebrane ciemności, a z oddali dochodził do jego uszu szum potężnego wiatru. Kiedy się ocknął, był dzień, a on leżał na zielonym dywanie z miękkiego mchu.. Nad głową ujrzał błękitne niebo, po którym radośnie sunęły pierzaste chmury. Świeciło słońce. Po jego wysokości stwierdził, iż dawno

minęło południe. Rozejrzał się bacznie dookoła. Znajdował się na skraju gęstej i mrocznej kniei. Nie bardzo wiedział gdzie jest? Jego konia nie było obok. Zmartwił się. Powoli wychylił głowę zza gęstych krzaków. Oczom jego ukazała się bujna i rozległa łąka, na której pasła się, jak gdyby nic jego zguba. Odetchnął z ulgą. Tego tylko brakowało, aby stracił swojego ulubionego pupila. Pegaz dla niego wiele znaczył. Z uwagą zaczął penetrować łąkę. Naraz zamarł w bezruchu. W oddali ujrzał siedzącą na trawie postać kobiecą. Jej wzorzysta suknia, wydawała się jakimś pięknym i rzadko spotykanym egzotycznym kwiatem, a jej jasne długie włosy opadały kaskadą loków na zgrabne ramiona. Los mu sprzyjał wyraźnie. Nigdy nie był tak szczęśliwy. Od niej to bowiem zamierzał dowiedzieć się, jak ma dalej udać się w dalszą drogę. Wstał i poprawił lekko zmięte odzienie. Wierzchem dłoni przeczesał zmierzwioną czuprynę, na którą odruchowo wdział kaptur peleryny. Wtedy wyszedł wprost na łąkę.

* * *

Dziewczyna siedziała na łące. Uwielbiała przychodzić tu dla relaksu. Znajdowała się teraz z dala od osady, w której mieszkała i pracowała. Tutaj zaznawała spokoju i mogła skupić swoje myśli. Codzienna praca powodowała, iż w jej życiu panował chaos i wielkie napięcie. Dlatego każdy wolny czas spędzała w towarzystwie dobroczynnej przyrody. Nagle zauważyła pasącego się po prawej stronie, tuż pod okalającą łąkę lasem sosnowym, białego konia skubiącego spokojnie trawę. Było w nim wiele dostojności i uroku. Nie mogła wręcz oderwać od niego oczu. Obok zwierzęcia nie dostrzegła nikogo. Zastanawiała się do kogo on może należeć? Jednak doszła do przekonania, że jego właściciel sam się odnajdzie. Zapewne na moment gdzieś się oddalił. Jego powrót był zatem kwestią czasu. A ten koń musiał pochodzić z okolicznej stadniny. Śledziła uważnie teren łąki, aby nie przegapić momentu pojawienia się tajemniczego jeźdźca.

Czas oczekiwania zaczął się jej potwornie wydłużać; podświadomie niepokoiła się. Może coś mu się stało? W tej bezkresnej głuszy wszystko mogło być do przewidzenia. Rzadko kto z miejscowych zapuszczał się w ten teren. Nie raz ludzie błądzili, nie natrafiając szybko na właściwą ścieżkę. Zdarzało się też, że już nigdy nie wracali. Wreszcie zobaczyła go. Wszedł zza wysokich krzaków i najwyraźniej zmierzał w jej stronę. Początkowo wzięła go za zakonnika z pobliskiego klasztoru, ale ten nie miał na sobie charakterystycznego brązowego habitu, lecz czarną pelerynę z wydatnym kapturem mocno naciągniętym na głowę.

Dopiero kiedy podszedł bliżej i ściągnął kaptur. Oczom jej ukazał się bardzo przystojny młody mężczyzna o niebieskich oczach i rudawo-złotych włosach krótko przyciętych do połowy uszu. W beżowych w czarne prążki spodniach do konnej jazdy i wysokich do kolan skórzanych butach z ostrogami. Spod peleryny wyłaniała się śnieżnobiała koszula z mocno wykrochmalonym

stojącym kołnierzem. Na środkowym palcu prawej dłoni, zaśnił w słońcu złoty masywny sygnet z licznymi ornamentami. Była przekonana, że jest to typowy turysta i aktualnie jeden z gości pobliskiej stadniny koni.

- Szczęść Boże! - powiedział na powitanie, jak to miał w zwyczaju witać spotykanych ludzi.

- Widzę, że pan zabłądził? - zapytała uprzejmie.

Mężczyzna uśmiechnął się po przyjacielsku, ale nie od razu udzielił odpowiedzi na zadane pytanie. Nie bardzo wiedział, co ma jej rzec. Musiał jednak coś powiedzieć. Nie mógł przecież tak tylko stać i milczeć.

- Sądzę, że tak - przyznał szczerze.

- Gdzie ja teraz jestem?

Dziewczyna powoli wstała z trawy.

Również uśmiechnęła się do nieznajomego.

- Po prostu oddalił się pan z trasy. W tym naszym lesie idzie zabłądzić, jak się go dobrze nie zna.

Bagatela... będzie z jakies dobre dziesięć kilometrów. Pańska stadnina jest tam - wskazała ruchem głowy

kierunek jazdy na północ. – Dotarł pan, z tym pięknym koniem, prawie do samych Dąbek. Właśnie ta osada, tam za łąką się zaczyna. Musi pan jechać dokładnie w tą stronę, co wskazuję. Mężczyzna raptem zasmucił się. Zwiesił głowę, jakby przekazana mu informacja, sprawiła jakiś nadludzki ból. Zamyślił się głęboko.